

EWA OSTROWSKA

# ABONENT

CZASOWO NIEDOSTĘPNY



Kraków 2009

- Mamo? Czemu mi się tak krytycznie przyglądasz? Ubrudziłam sobie nos? Wskoczył na nim wstrętny pryszcz?
- Zaraz krytycznie! Po prostu patrzę i zastanawiam się, jak jutro wypadniesz.
- Aha. No cóż, mamo, do jutra nie zdążę z operacją plastyczną. Nos musi pozostać na swoim miejscu.
- Ja mówię poważnie, a ty kpisz.
- Nie ośmieliłabym się kpić. Rozumiem powagę sytuacji.
- Powinnaś jutro szczególnie dobrze wyglądać, Marta.
- Postaram się, mamo.
- Rozumiesz chyba, że tak dłużej być nie może.
- Oczywiście, mamo. Nie może.
- To niemoralne, aby dwudziestodwuletnią kobietę utrzymywali rodzice.
- Masz rację, mamo. Niemoralne.
- Przerwałaś studia, nie chcesz na nie wrócić, twoja decyzja, twój wybór. Wolisz być nikim, zerem bez wykształcenia. Zmarnowałaś swoją życiową szansę...
- Tak, mamo.
- Z tobą się nie da nawet rozmawiać!
- Przykro mi, mamo.
- Wyobrażasz sobie, że tylko ty cierpiełaś? A ja? A twój ojciec.

- Ojczym – poprawiła.
- Ojciec! On ciebie wychował!
- To prawda: wychował.
- I kochał jak własną córkę.
- O tak, mamó, kochał.

Brał na kolana. Lubił brać na kolana. Głaskać po śmiesznych, cienkich warkoczykach. Całować w szyjkę. Całując, mówił: jaka śliczna, gładziutka szyjka. Wtedy nie wiedziała, co to takiego robi się u niego w spodniach, ale to coś uciskało mocno i twardo, wbijało się w pośladek. Tato, puść. Nie puszczał. Moja mała dziewczynka, mówił. Jeszcze tylko chwilkę, maleńka. Posapywał. Wcisnął ją mocniej w to coś twardego i kłującego jak kijek. Posapywał coraz głośniej, już nie całował, lecz lizał jej szyję. No, nie wryrywaj się, przecież nic złego ci nie robię. Kocham moją małą, śliczną dziewczynkę.

– Załatwił ci, dzięki swoim znajomościom, dobrą pracę. Rozmowa kwalifikacyjna to jedynie formalność. Twój przyszły szef jest przystojnym mężczyzną, dlatego jego nowa sekretarka musi wyróżniać się prezencją. Kwalifikacje masz marne, na komputerze prawie nic nie potrafisz zrobić. A przecież kupiliśmy ci taki z monitorem najnowszej generacji, żebyś nie narażała wzroku i siebie na promieniowanie, lecz ignorowałaś nasze dobre rady, nie poszłaś na kurs komputerowy. Gotowi byliśmy ponieść jeszcze i te koszty. Wszystko z myślą o twojej przyszłości, którą ty lekceważysz. Szczęście, że posyłał ci do liceum z rozszerzonym angielskim. No i te dwa lata lektoratu, przy twoich niewątpliwych zdolnościach lingwistycznych, coś ci dały. Język masz opanowany w stopniu dostatecznym, żeby rozmówić się jako sekretarka z zagranicznymi kontrahentami. Ale ty nie dbasz o siebie, te włosy chociażby! Dam ci na fryzjera. Niech ci dobrze jakąś podkreślającą twoją urodę fryzurę.

– Dzięki, mamó.

– A tu, spójrz, kupiłam ci elegancki kostium – matka zaszeleściła papierem, rozwijając paczkę. – Akurat na wiosenną porę, z żakardu, twój rozmiar: trzydzieści sześć. Oprócz tego – tu matka zaszeleściła kolejnym papierem zdzieranym z następnej paczki – bluzka. Z prawdziwego jedwabiu. Do tego, pod kolor, torebka – matka rozwinęła następną paczkę. – Przynajmniej zaprezentujesz się elegancko. Pozwolimy ci również całą swoją pierwszą pensję przeznaczyć na zakup odpowiednich ubrań. Będziesz pracować wśród bywałych w świecie ludzi, nie możesz wyglądać jak kopciuch.

– Jesteście po prostu niewiarygodnie hojni, mamó. Mam w akcie dziękczynnym paść na kolana?

– Jezus Maria, Marta! Z tobą nie da się rozmawiać!

– Skoro się nie da, to czemu rozmawiasz?

– Bo pragnę twego dobra! Żebyś, na przykład, wreszcie przestała nosić te swoje koszmarnie czarne spódnice i swetry! Wyglądasz w nich, jakbyś była stale w żałobie. Marta, kochanie. Ja wiem, że niełatwo ci zapomnieć. Ale najwyższy czas powrócić do normalnego życia.

– Tak mamó, najwyższy czas.

*Nim jeszcze skończył się wystawny obiad, na który zaproszeni zostali jedynie matka Pawła oraz świadkowie, sąsiedzi z tej samej klatki schodowej, państwo Kozłowski. Do nich matka i ojczym mieli zaufanie. Wiedzieli, iż nawet, jeżeli cokolwiek podczas ceremonii ślubnej dostrzegą, to nie zostanie ujawniona wstydliva, rodzinna tajemnica. Od czasu, gdy jej brzuch zaokrąglił się podejrzenie, dostała szlaban na wychodzenie z domu, a nawet na balkon. Wszelkie pytania sąsiadów, w tym również Kozłowskich, co dzieje się z Martą, matka zbywała stwierdzeniem, że Marta jest chora. Więc tak: Kozłowski*

*byli odpowiednimi ludźmi jako świadkowie i jako goście, a dodatkowy argument stanowiła ich zależność. Pan Kozłowski pracował jako woźny w szkole ojczyma, natomiast matka wynajmowała panią Kozłowską trzy razy w tygodniu do sprzątania. Więc nim ten cholerny obiad się skończył, przestała czuć ruchy dziecka. Ślub kościelny nie wchodził w grę. Na taki ślub nie zgodziła się matka Pawła. Po co w to wciągać Pana Boga – powiedziała. – Chyba zdajesz sobie sprawę, iż mój syn żeni się z tobą wyłącznie z przyzwoitości? A to, co przed Bogiem zawarte, jedynie Bóg ma prawo rozwiązać, natomiast ślub cywilny? Sama wasz rozwód przeprowadzę. Odbędzie się szybko i dyskretnie. Mój syn jest o wiele za młody na zakładanie rodziny. Nie jesteś dla niego odpowiednią partnerką. Nie o takiej synowej marzyłam.*

– To dlaczego nieustannie się zadręczasz, Martusia?

– Nie wiem, mam.

– Martusia. Zadręczasz siebie, zadręczasz nas.

– Tak, mam.

– Tym swoim potakiwaniem doprowadzasz mnie do szału!

– Przepraszam, mam.

*Paweł powiedział: niech ją pani czymś ściśnie, żeby nie widać było brzucha. Oczywiście, oczywiście, zgodziła się pospiesznie matka: nie będzie widać. Mnie zależy nie mniej niż panu. To żadna przyjemność wydawać za mąż córkę z brzuchem. Jestem i tak ogromnie zobowiązana. Panu i pańskiej matce. Pozory zostaną zachowane. Dziecko i córka dostaną pana nazwisko, to dla mnie i mego męża wielka ulga. Przynajmniej nikt nas nie weźmie na języki, a tego biednego dziecka mojej biednej córki nikt nie nazwie bękartem. I tak jak uzgodniliśmy: po ślubie cywilnym zobaczycie się dopiero na sprawie rozwodowej. Ona nie pozwie pana o alimenty. Może pan być spokojny. Wcale nie jestem*

*spokojny! – wybuchnął Paweł. – Ona w ogóle nie powinna była zająć w ciążę! Zapewniała, że przyjmuje pigułki! Drogi Pawle, proszę się nie denerwować, ona dała słowo honoru, a mnie z mężem jeszcze jest, chwała Bogu, stać na utrzymanie wnuka. Bo to miał być syn. Płeć dziecka określiła lekarka z rejonu podczas ostatniego badania USG. Na to i wszystkie wcześniejsze chodziła sama. Paweł zostawił ją dokładnie w tym dniu, w którym go poinformowała, że spodziewa się dziecka. Matce o ciąży powiedziała dopiero pod koniec czwartego miesiąca, kiedy dłużej nie można było zaokrąglającego się brzucha tłumaczyć uporczywymi wzdęciami. Nie ufała matce. Bała się, że zaprowadzi ją na skrobankę. Owszem, zaprowadziła, ale lekarz stanowczo odmówił. Chłopczyk, powiedziała lekarka. Duży, silny, zdrowy, prawidłowo rozwinięty chłopczyk. Czemu pani płacze? To z radości, odpowiedziała. Nie chciała dziewczynki. Od dawna nie chodziła do kościoła, od bardzo, bardzo dawna. Ostatni raz była na mszy, mając lat trzynaście. Tak prosiła, tak prosiła w modlitwach, żeby ojczym przestał z nią robić to, co robił. Niestety, jej modlitwy nie zostały wysłuchane, a matka wytrząsała po twarzy, wołając, że jest podła, wymyślając o ojcu podobne brednie. Z kolei ksiądz, któremu podczas spowiedzi wyznała, że tata przychodzi do jej łóżka, aż wychylił się z konfesjonatu; spojrzał na nią ze wstrętem i krzyknął, że to nie tata, tylko ona ma grzeszne myśli, bo pewno ogląda te wszystkie nieprzyzwoite filmy w telewizji. Chociaż potem, w święte niedziele, matka albo krzyczała, albo biła po twarzy, nie pozwoliła się zaciągnąć więcej do kościoła. Gdy zaszła w ciążę z Pawłem, przypomniała sobie o Bogu i do Niego zwróciła się o pomoc. Nie prosiła, żeby Paweł z nią się żenił. Chodziło o dziecko, które urodzi. Oby nie dziewczynka, oby nie, Panie, ponieważ być dziewczynką to koszmar, to męka.*

– Martusia, rozumiem, ale bądź pragmatyczna. Spójrz na swój dramat z innej strony: po co ci dziecko? Miałabyś życie związane na supeł, i my również. Mieszkanie zaledwie trzypokojowe. Dwoje młodszych dzieci poza tobą. Co prawda ojciec ma znajomości i obiecali mu, że dadzą ci jakiś lokal z listy społecznej po naszym rozwodzie. No, ale sama wiesz, jakie to są te mieszkania socjalne. Bez jakichkolwiek wygód, bez podstawowego standardu. No i o męża byłoby ci o wiele trudniej z dzieckiem.

– Tak. O wiele trudniej.

– Martunia, jesteś taka młoda i taka ładna. Wyjdiesz za mąż, założysz rodzinę, urodzisz dzieci.

– Oczywiście, mam. Wyjdę, urodzę...

*Ścisnęła ją gorsetem tak mocno, że prawie nie mogła oddychać. Ja się duszę, mam. Nie trzeba było się puszczać, więc teraz cierp. Ty zdajesz sobie sprawę, przez ile upokorzeń musiałam przejść, żeby tę wredną babę, tę panią sędziń i jej synalka, przekonać, aby się raczył z tobą ożenić? Nie prosiłam cię o to, mam. Milcz! Na kolanach powinnaś mi dziękować! Za to, co dla ciebie zrobiłam i za to, co jeszcze dla ciebie i twego bachora będziemy musieli razem z ojcem zrobić. Kosztem dziewczyny! Z naszych nauczycielskich pensyjek! Wyżywić, ubrać jeszcze jedną gębę! I ciebie, z którą nie wiadomo teraz co począć, gdzie schować, żeby się znajomi nie dowiedzieli.*

– Dobrze, że chociaż tyle rozumiesz. Jednak, kiedy pomyśle, że moja najstarsza córka, moja pierworodna, ukochana i wytekniona tak bardzo mnie zawiodła... Porzuciłaś studia, udawałaś przez cały rok, że chodzisz na zajęcia. Gdyby nie moja intuicja, która kazała mi sprawdzić u dziekana, czy aż do tego stopnia się zaniedbałaś, że nie otrzymujesz stypendium rektora, to do tej pory oszukiwałabyś i mnie, i ojca, który ciebie jak własną córkę...

– O tak, mamó. Jak własną.

*Poczuła go obok siebie. Cichutko, maleńka, ja nic złego, ja tylko poleżę przy tobie. Był wielkim, barczystym, śmierzdzącym potem facetem o byczym karku. Przytłoczył ją ciężarem swego ciała, coś sztywnego i twardego wbijał w jej brzuch. Kocham cię, maleńka. Jesteś taka wiotka i śliczna, szeptał, i masz takie małe cycuszki. Pozwól mi je dotykać. Och, och, zasapał, i z tego czegoś twardego wytrysnęło czymś lepkim, ciepłym. On zsunął się z niej i powtarzał: Moja maleńka dziewczynka. Moja, tylko moja. Zawsze będziesz moją dziewczynką. Pocałował jak córkę w policzek, pogłaskał po głowie. Kiedy dorośniesz, powiedział, zrozumiesz, jakie to przyjemne. I będziemy to robić inaczej. Teraz możemy tylko w ten sposób. Daj łapkę, maleńka. No, dajże, nie wrywaj, nie szarp się. Czujesz? Czujesz? Jaki on jest duży? A twoja cipcia za mała, abym ci go w nią włożył. Mógłbym ci sprawić ból, a nie chcę ci sprawić bólu, moja śliczna dziewczynko.*

– Mówisz to z takim sarkazmem. Jakby ci twój ojciec...

– Ojczym.

– Dobrze, ojczym, który ciebie wychowywał od ósmego roku życia i dbał bardziej niż o własne córki. To ty byłaś i wciąż jesteś oczkiem w jego głowie. Nie zapominaj o tym.

– Na pewno nie zapomnę, mamó. To niemożliwe.

– Za co ty go tak nienawidzisz? Powinnaś Bogu dziękować, że dał ci takiego ojca.

– Ojczyma, mamó.

– Przestanieś wyskakiwać z tym obraźliwym, upartym nazywaniem go ojczymem!

– Kiedyś ci usiłowałam, mamó...

– A tam! Ja ci powiem, Marta. Od dziecka miałaś rozbuhaną temperamentalność, niezdrową wyobraźnię i dlatego poszłaś do



łóżka z pierwszym lepszym, który ci się nawinął. Mało razy musiałam ciębie – o Boże, co za wstyd – trzynastoletnią, czternastoletnią prowadzić do lekarza, ponieważ ciągle i ciągle te stany zapalne pochwy... Lekarz radził mi, żebym ci na noc wiązała ręce, ponieważ się onanizujesz i to dlatego.

*Potem, gdy była starsza, rozsuwał zaciśnięte uda. No, moja małeńka, daj się tam popieścić, tylko troszeczkę, odrobinę. Och, och, stękał, sapał, wbijając członek w jej brzuch i jednocześnie grzebiąc tym grubym, niemytym paluchem. Nie lubił myć, kąpał się raz na tydzień, a do matki, narzekającej od czasu do czasu, że cuchnie, mówił, śmiejąc się, że to jest naturalny zapach każdego prawdziwego mężczyzny, każdego samca. Matka była pedantycznie czysta, talerze w obawie przed zarazkami parzyła wrzątkiem, a ojczyrna dopuszczała do siebie tylko dwa razy w tygodniu. W sobotę, ponieważ w sobotę się kąpał, oraz w niedzielę, bo w niedzielę jeszcze tak bardzo samcem nie cuchnął. Przez pozostałe pięć dni tygodnia matka spała razem z bliźniaczkami w stołowym, ojczym zajmował drugi pokój, zaś ten najmniejszy, trzeci, podobny do dziupli, należał do niej. Więc przez dwa dni w tygodniu miała spokój, nie musiała leżeć w ciemności, zaciskając z całej siły uda, ociekająca ze strachu strugami potu, nadsluchująca skradających się kroków ojczyrna, a każdy najmniejszy szelest, każdy szmer dochodzący z głębi mieszkania powodował wzmogoną falę mdłości i takie trzepotanie serca, iż cieszyła się tym w nadziei, że zaraz umrze. Jęki matki, słyszalne przez cienkie działowe ścianki blokowego mieszkania, początkowo ją przerażały i myślała, że ojczym robi matce coś bardzo bolesnego. Pewno to samo, co obiecywał z nią robić, gdy będzie starsza. Jednak następnego dnia twarz matki jaśniała, uśmiech nie schodził z ust, oczy promieniały i zawsze po takiej nocy, pełnej jęków, matka mówiła do ojczyrna*

*kochanie, kupowała na poobiedni deser jego ulubiony tort orzechowy, przytulała się, ocierała o niego jak kotka, powtarzając: Kocham cię, wiesz? Ach, jak ja ciebie kocham, Piotrusiu.*

– Mamo. Przestań. Przynajmniej nie mów nic na ten temat.

– Niby dlaczego? Po prostu z nienawiści do ojca chciałaś z premedytacją zniszczyć moje udane, szczęśliwe małżeństwo. To jest cała prawda o tobie. I o twoich urojeniach. Czasami wprost nie mogę na ciebie patrzeć. Dobrze, że poza tobą mam Dagę i Patrysię, które mi w najmniejszym stopniu nie sprawiają zawodu.

– Jakie to szczęście, mamo, że poza mną masz swoje prawdziwe dzieci, które ci w najmniejszym stopniu, w przeciwieństwie do mnie, nie sprawiają zawodu ani kłopotu.

– Są grzeczne, dobrze się uczą, szanują swoich rodziców.

– No właśnie. A ja od dziecka was opluwam, taki jestem potwór.

– Po cóż ten sarkazm, Marta? Chyba nie powiesz, że byłaś łatwym dzieckiem.

– Byłam potworem w ludzkiej skórze. Powtarzałaś mi to niemal każdego dnia.

– Marta, uderz się w piersi. Chociaż raz postaraj się być sprawiedliwa. To ty ze mnie robiłaś przed ludźmi potwora. Od czasu, kiedy wyszłam po raz drugi za męża, stałam się nagle w twoim mniemaniu wyrodną matką. Boże mój, ileż razy zastanawiałam się, co się z moim dzieckiem dzieje? Co z moją Martusią? Początkowo sądziłam, że to dziecinna zazdrość o mnie. Swój czas, dotąd poświęcany jedynie tobie i pracy, musiałam częściowo oddać mężowi, człowiekowi, który nadał sens mojemu samotnemu życiu. Bo powinnaś wiedzieć, Marta, że samotnej, młodej matce nie jest łatwo. Miałam wtedy dwadzieścia cztery

lata i wydarzył się cud: ja, która skreśliłam ze swego życiorysu wszystkich mężczyzn i wszystkich przez te lata odrzucałam, obawiając się kolejnego cierpienia, zgorzkniała do cna, spotkałam Piotra. Nagle, jakby otworzono przede mną wrota raj, pokochałam go, a co najważniejsze, Piotr pokochał mnie i potrafił zrozumieć moje obiekcje, czekał na mnie do nocy poślubnej. Odtąd tworzymy szczęśliwą rodzinę.

– No cóż, przykro mi, że to twoje szczęście od lat zakłócam.

– Właśnie, Marta. Dlaczego? Ciągłe zadaję sobie to pytanie: dlaczego? Bo stałaś się taka w kilka miesięcy po naszym ślubie. Pamiętasz, co mu raz zrobiłaś? Jadł obiad. Ty podeszłaś i wbiłaś mu w plecy igłę.

– Należało się wtedy zastanowić, mamo, nad powodem, dla którego zadałam mu ból. Ale wrzasnął. Spuściłaś mi niekieskie lanie, mamo.

– Igłę wbiłaś tak głęboko, że chirurg musiał ojca ciąć.

– Biłaś i krzyczałaś: mała sadystka.

– Pamięć masz doskonałą. Chyba pamiętasz również swoje listy, wypisywane do babci i dziadka? Nawet do tej Malinowskiej z Gałkowa pisałaś, jak cię bez przerwy krzywdzę, znęcam się nad tobą.

– Do pani Malinowskiej nie pisałam mamo.

– Kłamiesz. Jak zawsze kłamiesz.

*Była połowa września. Przed szkołą i po szkole miała obowiązek odbierać bliźniaczki z przedszkola. I z domu, i ze szkoły: jednakowo daleko. Musiała przejechać tramwajem, bo to taniej niż autobusem, niemal przez pół miasta, ponieważ dzieci koniecznie musiały chodzić do przedszkola prywatnego i koniecznie prowadzonego przez siostry zakonne. Jedynie siostrzyczkom mogły je powierzyć. W przedszkolach publicznych nie wpajają*

# SPIS CZĘŚCI

CZĘŚĆ PIERWSZA: RANA 6

CZĘŚĆ DRUGA: NADZIEJA 152